Lwów, 29. Czerwca   Nr 77.   Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

Od wydawcy. Z dzisiejszym numerem kończy się drugi kwartał: „N o w i n“. Zapowiedzianą już dawniej powieść p. Kaczkowskiego: „Dziwożona“ dopiero teraz umieścić mogliśmy. Poczem nastąpi powieść p. Kraszewskiego: „Abrakadabra.“ Spodziewając się, iż moje usiłowania pozyskania dla „N o w i n“ piór znakomitszych naszych pisarzów, i na dal znajdą toż samo co dotąd u czytającej publiczności uznanie, wzywam do dalszej prenumeraty. W zapowiedzeniu pierwszem przyrzekłem w Nowinach kilkanaście tomów rocznie oryginalnych umieścić powieści. Przyrzeczenia tego dopełniłem, dostarczywszy dotąd sześć sporych tomów samych powieści, które osobno odbite, w handlu księgarskim do 10 Złr. kosztować będą.

Do dawniejszego numeru dołączony był list zwrotny do prenumeraty. Prenumerujący na całe następne półrocze, oszczędzający więc nie tylko sobie kosztów podwójnej przesyłki lecz i wydawcy nakładu na dwukrotny, przy każdym kwartale druk adresów pocztowych, otrzymają jako premią, litografowany portret Kraszewskiego.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

I.

(Ciąg dalszy).

Późniejsze lata życia pana Dominika były tak do siebie podobne, że nie ma co o nich powiedzieć. Z początku miał on cokolwiek kłopotu z swą żoną, nim ją przyuczył do takiego posłuszeństwa i takiego porządku, jakiego nauczył się w wojsku i jaki począł zaprowadzać w archiwach. Potem matka staruszka umarła, kilkoro dzieci nieubłagana śmierć mu zabrała, lecz nareszcie wszystko to przeminęło i zamiast zatruć szczęście domowe państwa Sieniawskich, nauczyło ich tylko o tyle wyżej cenić brak prawdziwego nieszczęścia i dziękować pnnu Bogu za to, czem ich opatrzył i w czem im pozwolił się utrzymać. I tak minęło im lat przeszło trzydzieści.

Dzisiaj pan Dominik porzucił już był swoją służbę publiczną i cieszył się skromną lecz pewną emeryturą. Żal mu wprawdzie było porzucać to ogromne archiwum, w którem połowę życia swego przepędził i które za swe własne dzieło uważał, ale wzgląd na zdrowie i wiek już podeszły zwyciężył jego zamiłowanie w owych szafach olbrzymich i zapylonych papierach, które znał już od deski do deski. A do zwycięztwa tego przyczyniło się głównie to, że pan Dominik służąc dobru pospolitemu, niezapomniał nigdy o sobie, i jeżeli przez lat trzydzieści swej pracy, potrafił zaopatrzyć się w swoją własną bibliotekę i własne archiwum, to nie zaniedbał zarazem zawsze grosz składać do grosza, chować to od przypadku i doprowadzić nakoniec do tego, że teraz uchodził za kapitalistę na Sieniawszczyźnie. Kapitały jego ograniczały się wprawdzie na tak małych funduszach, że chyba tylko na Sieniawszczyźnie mogły się nazywać kapitałami, ale pomimo to pan Sieniawski był rzeczywiście człowiekiem bogatym, bo był oszczędnym, gospodarnym i poprzestawał na małem. Pomieszkanie nic go nie kosztowało, bo miał dom własny, ogródek warzywny nietylko mu oszczędzał połowę wydatków na kuchnię, ale jeszcze przynosił i niejakie dochody, z domorodnych owoców także połowa się sprzedawała i zgoła wszystko co w domu było, musiało czynić sumiennie swą służbę i przynosić pożytek. Pan Dominik bowiem nie cierpiał żadnej rzeczy, która-by istniała bez celu a kto żyje ten się musi i umieć wyżywić. W wypadkach domowych była zaprowadzona ogromna oszczędność, żaden grosz nie szedł tam marnie, żaden zrzynek papieru, który-by nie był zapisany, nie mógł być wyrzucony na śmiecie i ani o jedną łyżkę strawy nigdy nie zgotowano nad to, ile było potrzeba. Próżność, wystawność lub zbytek były to rzeczy nie znane w familii Sieniawskich. Skromność w ubiorze i w jedzeniu, obrachunki z pieniędzy, z sumieniem i czasem, trwały tam nieprzerwanie a każda godzina dnia i wieczoru miała u każdego swe przeznaczenie i nie mogła go nigdy uchybić. Trzech pokoi było potrzeba do pomieszczenia całej familii i trzy pokoje były przez nią zajęte; do czwartego zaś przyjmowano zawsze studenta, z którego także musiał wpływać pożytek. Dawniejszemi laty trzymywali państwo Sieniawscy zawsze trzech małych chłopaków. Ale odkąd oboje się postarzeli i wrzasku dziecinnego łatwo znosić nie mogli, starali się o jakiegoś słusznego akademika i takiemu tylko dawali pomieszczenie w tym pokoiku, któryśmy dopiero co oglądali.

Pan Dominik był wzrostu słusznego, chudy i wyciągnięty

gnięty jak strona, a w jego ruchach było coś dziwnie sztywnego, coś, co się wyrodziło z dawnych manier wojskowych i trzydziestoletniego siedzenia nad bibułami. Jego twarz była ściągła, policzki pozapadane, czoło pomarszczone a nos tak potężnej wielkości i z garbem tak znakomicie wydatnym, że do niczego nie mógł być trafniej porównanym, jak do tureckiej kulbaki. Cała ta twarz była obciągnięta skórą żółto-pargaminową, ozdobiona dwojgiem oczu zielonego koloru, ogolona starannie i gładko, i nakryta krótko ostrzyżoną, niegdyś zapewne i czarną, a dziś żelazno-szpakowatą czupryną. Ucho lewe miał pan Dominik przebite i ozdobione złotym kulczykiem; na szyi nosił zawsze czarny halsztuk włosienny, zabytek służby wojskowej. Był zresztą cały okryty zawsze tabaczkowym, długim surdutem, z pod którego wyglądały bóty jałowicze, palone, pomimo wynalazku dogodniejszych czernideł, zawsze jeszcze woskiem i to tak starannie wyglansowane, jak gdyby za chwilę miały w wielkiej paradzie prezentować się panu Naczelnikowi. To był jego strój zwykły, codzienny i coniedzielny. — Na wielką paradę tylko ubierał on się w kamizelkę białą, pikową, obwiązywał szyję również białą chustką, z której wielkie, skrzydlate umiał zawiązywać fontazie, kładł na siebie frak granatowy z długim wąskim ogonem i dwoma rzędami niebieskich stalowych guzików, pantalony zaś do tego przybierał perłowe i bóty krojem węgierskim zrobione, lecz chociaż kutasami ozdobione, zawsze tymże samym woskiem polerowane.

Przy takiej powierzchowności, od której dziwny jakiś chłód się rozchodził i która od razu uderzała rygorem i sumiennością, pan Dominik nie był ani człowiekiem złym, ani cierpkim, ani zbytecznie surowym. Nie znał on się wprawdzie całkiem na żartach, rzadko kiedy uśmiech zajaśniał na jego twarzy, a umysł jego każdą rzecz bez wyjątku brał i pojmował tylko z strony poważnej. Ale pomimo to serce jego było miękkie i litościwe, charakter nadzwyczajnie łagodny, i jak w jego duszy nie było nigdy cienia złej chęci przeciwko nikomu, jak w jego życiu nie było żadnego nieczystego uczynku, tak na jego ustach nie było nigdy cierpkiego nawet słowa. Kochał on wszystkich, chociaż się z tem nie wydawał, nic nie zawidził nikomu, bo nie potrzebował niczego, pomagał potrzebnym ale w największym sekrecie i zawsze z oględnością na swoją możność, wymagał od wszystkich szacunku dla siebie, ale szacunkiem nawzajem odpłacał, uparty był i zawsze wszystko postawił na swojem, ale nigdy nic nie wymuszał na nikim, tylko pomału niewolił. Życie jego od lat trzydziestu aż do teraz było wciąż jednakowe. Wstawał zawsze rano równo ze wschodem słońca, potem trzy godzin pracy w biórze, z uderzeniem godziny dwunastej obiad, po obiedzie spoczynek; od trzeciej znowu trzy godzin pracy, a reszta dnia na przechadzce, latem w ogrodzie a zimą przy kominku na łonie familii. Od czasu jak uzyskał emeryturę, uwolnił się wprawdzie od obowiązków służby swojej w archiwum, ale pomimo to nie uwolnił siebie od pracy, bo praca stała się warunkiem jego zdrowia i życia. Sześć godzin codziennie musiał on wysiedzieć przy biórze i te sześć godzin wypełnić poważnym i rzeczywistem zajęciem. Środki do tego miał on dostateczne, bo jak widzieliśmy posiadał piękne własne archiwum i biblioteczkę, lecz jakiż cel on miał on założyć swej pracy?

Jakoż z początku nie miał on rzeczywiście żadnego celu. Myślał wprawdzie wiele, układał plany do różnych dzieł historycznych i kronikarskich, ale jakoś wszystko, co ułożył, w krótkim już czasie odrzucił. Wszakże niebawem przyszła mu myśl najwłaściwsza i ze wszech stron najdogodniejsza. Trzeba bowiem wiedzieć, iż pan Dominik, lubo powróciwszy z wojska, ostatecznie się już był przekonał, że odszukanie źródeł jego pochodzenia jest zupełnem niepodobieństwem, i lubo przez lat następnych trzydzieści ani jedna taka nie zdarzyła się okoliczność, któraby ciężącą na jego umyśle i sercu tajemnicę choć w czemkolwiek mogła była rozjaśnić: jednak on przez całe te lat trzydzieści nigdy nie zapomniał o tem, co mu się uroiło było w młodości i nigdy nie tracił nadziei odkrycia kiedyś jeszcze tego zaklętego źródliska, które wedle jego wyobrażenia zamykało dla niego jakiś świat cały, pełen tajemnic, pełen uroku i cudowności.

Dopóki był w służbie czynnej i życie jego dzieliło się pomiędzy prozaiczną pracą w archiwum i równie prozaiczne zajmowanie się ekonomią domową, idea ta jego, przy całej swojej zdolności do rozbujania i opanowania go całkowicie, tuliła się w jak najodleglejsze jego duszy zakątki, i spała jak najspokojniej w obec czynnych władz jego rozumu i zajęć codziennych, nie pozostawiających mu ani chwili do marzeń swobodnych i nienależących do spraw służbowych lub familijnych. Lecz kiedy po usunieniu się od służby publicznej sześć godzin mu poczęło pozostawać codziennie, które żadnego przeznaczenia nie miały, to owa idea poczęła go coraz częściej i śmielej nawiedzać, aż nakoniec stała się gościem codziennym.

Poczęły mu się tedy nasuwać jego dawne z lat pacholęcych wspomnienia, wszystkie stare i mnóstwo nowych domysłów poczęło się gromadzić w jego dotąd spokojnej głowie, a żądza odgadnienia lub odszukania jego właściwego pochodzenia, stała się jego główną myślą, jego zmorą wewnętrzną, jego prawie fixacyą. Odtąd nie było już dnia takiego w tygodniu, a w dniu godziny, w której-by pan Dominik nie myślał o tajemniczych swych przodkach, w której-by tych przodków nie przybierał w różne urzędy, majątki, tytuły i nazwiska, i w której-by nie marzył o owej szczęśliwej chwili, kiedy staną nagle przed nim jego ojciec i matka, z miłością przyjmą go w swoje ramiona, obsypią bogactwami i nie rozdzielą się z nim już do grobu.

W takiem miotaniu się za straconemi rodzicami natu-

ralnie że pamięć jego przynosiła mu najróżniejsze domy i ledwie że nie wszystkie znane z herbarzów nazwiska. Pan Dominik każde z nich przybierał na chwilę za swoje i każde z nich natychmiast odrzucał. Lecz gdy w tym pochodzie przyszedł z kolei na Sieniawskich, zatrzymał się przy nich dłużej cokolwiek. Odezwał się wprawdzie do niego natenczas zdrowy rozsądek i przypomniał mu po raz setny, że nie masz się tu do kogo przyznawać, bo już wyginęli do szczętu Sieniawscy; — ale pan Dominik obuzrzył się przeciwko swojemu rozsądkowi i przy Sieniawskich pozostał.

Był to już znak nieomylny, że maszynka rozumowa starego archiwisty popsowała się już cokolwiek i że zaczyna coś straszyć pod jego szpakowatą czupryną. Ale on o tem, jak każden fixat, ani wiedział ani chciał wiedzieć. Powiedział sobie, że jest Sieniawskim, potomkiem wielkiego, starożytnego rodu, na którego lada dzień spadną jakieś wielkie zaszczyty i fortuny, z którym nie lada kto godzien obcować, zdumniał wewnętrznie, zbutniał, otoczył się jakąś tajemniczością, przybrał nawet ton jakiś, górny a ciemny w mowie i obejściu, i tak coraz bardziej się napajał i zapełniał tą swoją ufixowaną ideą, że pomału zaczęło brakować w jego głowie miejsca na to wszystko, co z jego Sieniawszczyzną nie miało styczności. (D. c. n.)

ŚMIEJ SIĘ I NIE ŚMIEJ SIĘ.

Kiedy słońce zaleje czarnych chmur gromada,
Na chmurach zamigocą błyskawicy żmije,
Gdy na drgającą ziemię grom za gromem spada,
I deszcz kroplisty dzwoni — i wiatr głucho wyje—
Lub gdy wieczor—syn wiosny, pogodny, uroczy,
Obejmie w swe ramiona strojną w kwiaty ziemię—
Gdy do niebios podniesiesz młode twoje oczy,
Tam, kędy księżyc idzie, z kąd gwiazd patrzy plemię,
Połóż rękę na sercu, słuchaj jak bić będzie,
I wtenczas powiedz sobie: Boże! tyś jest wszędzie!

Gdy dzieciństwo twe minie, gdy nadejdą lata,
Błogie lata zapału, złudzeń, upojenia,
Gdy młode twe ramiona wyciągniesz do świata,
A duszę twą owioną złociste marzenia,
Zbudź się, biegnij do starca z ubielonym włosem,
Powiedz mu: «Starcze, jam zbłąkane dziecię,
«Wszak ty znasz się ze światem, znasz się z ludźmi, z losem,
«Powiedz mi, powiedz prawdę o tym pięknym świecie!»
Gdy on ci powie prawdę, wtenczas śmiej się szczerze,
I wtenczas powiedz sobie: już w szczęście nie wierzę!

Lecz gdy ujrzysz człowieka co ludziom uwierzył,
Co jak ty spał na kwiatach, co jak ty się łudził,
A gdy w zimną pierś ludu swą piersią uderzył,
Pierś mu się zakrwawiła, on ze snu się zbudził,
I gorzki śmiech szyderstwa z ust mu się wywinął,
Zmarszczka czoło przebiegła, łza z powieki spadła;
Łza ta była ostatnia, uśmiech ten nie zginął,
I zmarszczka się nie starła i młoda twarz zbladła,
Wtenczas nie śmiej się z niego, wtenczas westchnij szczerze,
I wtenczas powiedz sobie: w jego boleść wierzę!..

Gdy napotkasz dziewczynę, co jak kwiat w rozkwicie,
Piękna i nieskalana, świeża jak jutrzenka;
Z łona jej roskosz patrzy, w oku płonie życie,
Cudne kształty leciuchna obwija sukienka;
Gdy dłoń jej rozpalona w twojej zadrży dłoni,
A pierś jej biała, wzdęta, przylgnie ci do łona,
Kiedy głęboko westchnie, srebrną łezkę zroni,
I złote słówko: kocham, wyrzeknie spłoniona:
Wtenczas zaśmiej się z duszy, o zaśmiej się szczerze,
Potem zimno się ukłoń i powiedz: nie wierzę!

Jeźli kiedy zasiądziesz w rówienników kole,
Kiedy kielich poleci od ręki do ręki,
I ze swobodą w duszy, z pogodą na czole,
Wesołe, huczne z nimi zanucisz piosenki,
Kiedy z nagła przestaniesz być twych myśli panem,
Gdy się zbliży z nich który, ściśnie cię serdecznie,
I uścisk zaraz szumnym zalawszy szampanem,
Twym bratem, przyjacielem, przysięgnie być wiecznie;
Wtenczas śmiej się mu w oczy, śmiej się długo, szczerze,
I wtenczas powiedz jemu: w twą przyjaźń nie wierzę!

Lecz jeśli kiedykolwiek losu niepogoda,
Zamroczy jasne dotąd życia twego niebo,
Gdy pod ciężarem troski jęknie dusza młoda,
I gdy pociechy słowa będą jej potrzebą;
Lub jeśli kiedykolwiek nędza cię przygniecie,
I zmusi cię byś znosił straszną głodu mękę,
Gdy ci będzie tak ciężko, tak smutno na świecie,
A przyjaciel twój wtenczas poda tobie rękę.
O uściśnij tę rękę, uściśnij ją szczerze,
I powiedz sobie wtenczas: w taką przyjaźń wierzę!

Pośród świetnych salonów, gdy na szumnym balu,
Dumnego ze swych kroci zobaczysz bogacza,
Lub piękność nikłą, bladą, w stutysięcznym szalu;
Gdy ujrzysz tłum pochlebców, który ich otacza,
Co je usty pełnemi tak chętnie rzucają,
Gdy oko twoje spocznie na perłach, na złocie;
Ci ludzie, powiesz sobie, szczęśliwi się zdają!
Idź z nimi do pałaców i tam śmiej się szczerze,
I powiedz sobie śmiało: w ich szczęście nie wierzę!

Lecz jeśli kiedykolwiek napotkasz człowieka,
Co jak u trupa w trumnie, wybladłe ma lica,
Co wzrok do ziemi przybił, milczy, nie narzeka,
A z czoła mu wygląda do śmierci tęsknica,
Gdy wnijdziesz na poddasze, tam gdzie jego żona,
Zgłodniałe wyschłe dziecię krwawą łzą oblewa,
I zziębłe do zimnego przytulając łona,
Piosnkę mu z lepszych czasow tęsknym głosem śpiewa,
Nie śmiej się młody bracie, dopomóż im szczerze,
I pomyśl sobie wtenczas: w ich nieszczęście wierzę!

Tak idź śmiało, nie pytaj co powiedzą o tem;
Śmiej się kiedy wypadnie, wzdychaj gdy potrzeba,
Gdyś bogacz, gdzie łzy płyną, spiesz z sercem, ze złotem,
Gdyś biedak, z biedakami łam kawałek chleba!

Tak pośród życia burzy, nieszczęść nawałnicy,
Nie zabraknie ci męztwa, nie zabraknie siły;
Nie zmroczy się twe czoło chmurami tęsknicy
I niezlękniony staniesz na krańcu mogiły!
I spojrzawszy w mogiłę, zaśmiejesz się szczerze,
I powiesz: dobrze żyłem, w dobrą przyszłość wierzę!

J. N. P.

PIEŚŃ ŻYCIA.

Fragment

przez **J. I. Kraszewskiego.**

„Pieśni życia, wielka pieśni, po raz setny, niech cię rozpocznie człowiek; pieśni niewyśpiewana, nieskończona nigdy pieśni, zawsze jedną grobową kończąca się zwrotką, a zawsze nowa i ponętna...

„W krainie ducha, wszystko jest pieśnią życia, jak na ziemi, od pyłku do dębu wszystko jest żywotem. W pyłku śpi może świata zarodek, w dębie szumi myśl zielona, i w słowach życia pieśni, co dźwięczą urwane, snują się myśli wielkie, niemowlęcym bełkocząc językiem...,.

„Życie, życie, życie! po trzykroć wołam cię, zaklinam, wywołuję bym zrozumiał; chciałbym czarnoxiężką rószczką zmusić cię byś stanęło przedemną, przyoblekło ciało, i odpowiedziało mi samo, czem ty jesteś? Ja cię rozumiem i niepojmuję cię jeszcze, chwytam i pojąć nie mogę. Spojrzę w niebo, zda mi się, żem schwytał słowo wielkiej zagadkj, obejrzę się na na ziemię i błąkam znowu. Toż to jest życie? do czego?

„Chciałbym zaśpiewać wam wielką wiekuistego życia pieśń, a usta zawiera zdumienie, cierpienie, bezsilność i boleść; boleję ale nie nad sobą. Usta mi zamyka szał ludzi, nędza ludzka i wszystkie życia sprzeczności, które ściąga myśl na sznur tego rożańca, nie mogąc ich z sobą pogodzić, pobratać i skleić.

„Niech pieśń ta pyłkiem będzie... gdy zaszumieć dębem nie może,—i pyłek w stworzeniu potrzebny i on nieśmiertelny.

„Pieśń życia! spytają zdumieni, — a żyłżeś ty, co ją chcesz wyśpiewać? O! żyłem, jeśli życiem nazwać się godzi to dziwne pasemko nadziei, łez, boleści, burzy i ciszy i pracy, pracy mozolnej, na którą gdy się obejrzę, to mi żal, że tak drobna, że tak nieznacząca, że tak w obliczu myśli co ją zrodziła—niedołężna... O! żyłem, śniłem cierpiałem, pragnąłem, pracowałem, a dziś, gdy się tak wiele przeżyło i prześniło, przecierpiało i przepracowało, niepotrafię powiedzieć, czy warto żyć było.

„Chcę jednak wyśpiewać pieśń nie mojego życia, która pyłkiem będzie tylko, bom i ja w świecie pyłkiem był zaledwie.

„Stańmyż,—oto kolebka—zagadka! Widzicie, na świat przychodzi dziedzic świata, człowiek, z jaką go witają radością, jakiemi mu sypią życzeniami! Jakby sami byli kiedy szczęśliwi, jakby kiedy spełniały się ich życzenia!

„Jedna tylko, matka jedna, wita męczennika łzą na oku, a łza to prorocza, co przepowiada cierpienia, co pierwszym chrztem boleści obmywa dziedzica ziemi....

„Srebrna kropelka błogosławieństwa i wieszczby spadła na rumianą skroń, a z nią wielka, tajemnicza siła; dziecię dotknięte nią drgnęło, poruszyło się, czuło już może ból, który ją zrodził i błogosławieństwo które niesie z sobą.... Łza to święta—chrzest to pierwszy.

„Ojciec się zbliżył i zapłakał także; ale łza jego, łza męzka, łza, owoc myśli nie serca; poleciał duchem w świat i przyniósł zeń tę łzę, równie proroczą, ale chłodną. Tamta spłynęła na pierś dziecięcia—ta mu oblała głowę i znowu poruszyło się przeczuciem... Był to chrzest drugi, chrzest boju, jak pierwszy był chrztem miłości.

„Inni zamiast łez przynieśli słowa i posypali niem kolebkę jak szeleszczącemi liśćmi suchemi, które jesień zwarzyła.

„I spadły słowa, jedne jak martwe liście, a inne jak muchy z brzękiem przeleciały po nad kolebką, zaszemrały, uciekły i pochowały się zaraz.,.. Słońce życia wywiedzie je kiedyś znowu z kryjówek, znowu przylecą i odlecą znowu,—kołysze się, kołysze kolebka dzieciny.

„A razem z pieśnią piastunki, słychać już nad nią, nad dziecięcia głową, wiele krzyżujących się głosów... Posłuchaj sercem z daleka, bo je sercem tylko schwytać można, jak do snu kołyszą, jak niemowlęciu śpiewają jego przyszłością.

„Zdala, zdala, dochodzi naprzód głos wojny.

„Z pól krwawych śmierci przybiegają jęki bolu i boleści, i wpadły mu w ucho, aż się wstrząsnęła dziecina, i płacze i kwili.... Czegoż to płaczesz dziecino? pyta matka. Jakiś je szelest przebudził!—odpowiedziała piastunka, śpiewa i kołysze.

„Nie szelest sen mu przerwał, ale bój i mordy, bo ucho dziecka wszystko jeszcze słyszy, wszystko co się po świecie dzieje; ono jeszcze nie oderwało cię od ludzkości, nie odcięte od niej, czuje z nią ruch jej każdy, drga wszelką jej boleścią. Później będzie to człowiek; a człowiek już sam sobie światem całym, i nic nie usłyszy nad to, co zechce posłyszeć.

„Śpij dziecino! śpij gołąbku! woła piastunka, i znowu je usypia.

„A już mu w uszko wciska się pieśń inna, przylatująca zdaleka.

„Słyszy gwar, słyszy szmer, wrzawę i spory ludzi, bój to inny, bój drugi, bój słowa, straszniejszy może od walki rąk i piersi. Tam z pobojowiska dusze ulatujące poległych wojowników, anieli niosą do nieba; tu tylko ludzi na ludzi czatują, tu szatan dmucha, ostrzy im wyrazy, nabija myśli bratobójcze, celują dn siebie, rażą się, zabijają, powstają

upiorami zabici, plwają w twarze rodzonym, i sądzą że z tego wrzątku prawda urośnie!! Ślepi! ślepi! wrzawę i spór szatan gotuje w kociołku, a Bóg jej nigdy nie błogosławi; z boju braci rodzi się tylko nienawiść, jak ze zgnilizny robactwo.

„Znowu zbudziło się dziecię;—co ci to znowu dziecino?

„To blask ją obudził!—odpowiedziała piastunka.

„Zakołysali—usnęło, tuli znów oczęta—czemuż się tak wzdryga i rzuca?

„Na drugim krańcu ziemi, brat zdradził brata, krew, nie krew może; łza, nie łza nawet, słowo spłynęło ciche ze zranionego serca, i ot—budzi się jeszcze dziecina.

„Spij dziecię, spij kochane, kołyszą je do snu znowu— śpij i marz gołąbku!

„Ale oczy otwarło, rozżaliło się i płacze.

„Cóż mu znowu sen przerwało?

„Ach! tam kędyś daleko było dusz dwoje, które sobie przysięgły w niewiekuistem życiu wiekuistą miłość, i potargały pęta które utkały nadzieją... a dziecię poczuło i zapłakało.

„Nie dziwcie się niemowlęciu, sen jego wszystko przerywa, zdrada, miłość, bój, modlitwa; o miękie jego serduszko kołaczą niewidome, miotają niem, i zasnąć nie dają.

„Śpiew niani, cichy, drzemiący, nie zagłuszy pieśni wielkich świata; jeszcze sobą nie żyjące, żyje już z drugimi, i błąkając się po świecie, podsłuchuje cudzego życia.—Kolebka się kołysze, kołyszmy się nad kolebką! Już nie jedna śpiewa niania, już jej wszyscy śpiewają — każdy ze swoją przyszedł piosnką, kto z czem mógł,—ojciec, matka, babka, siostra, braciszek i niania, i gość i kapłan.

„Cicho! cicho! posłuchajmy, kołyszmy się nad kolebką.

C. d. n.

Teatr polski pod sterem J. Pfeifra w Krakowie.

(Dokończenie.)

Lepszy jest nieporównanie nowo przybyły *Miłaszewski* do ról amantów, bo ten, nawet nad Kalicińskiego, przypominającego się zawsze burszowatemi minami i łamaniną ciała nieforemną, wyżej daleko stoi, bo przynajmniej więcej cywilizacyjną układnością odszczególnia mimikę swoją. Dowiódł on usposobienia do komedyi salonowej. Co zaś się tyczy ról dramatycznych, zdaje się, że do tych nie w zupełności wystarczy talent jego, a to dla przeszkód z szczupłej skali głosu wynikających.

Role ojców i deklamacyjno-poetyczne przyjął *Zyg. Anczyc*, (Soliniak w Estelli, Generał Laval w Napoleonie), jeden z ostatnich uczniów Bogusławskiego. Sędziwe lata i osłabiona pamięć stają szanownemu artyście na zawadzie, choć w niektórych rolach, nie potrzebujących malowidła wzruszeń, mógłby się jeszcze ukazywać. Oddajemy wszelki szacunek i uznanie półwiekowej pracy scenicznej artysty, jednakże czynimy uwagę, iż spracowanego artystę na scenie naszej, nie należałoby zbyt utrudzać pracą pamięciową, lecz możnaby użyć przy zawiadowstwie scenicznem, zaś do ról ojców i innych poważnych dramatycznych, należałoby wystarać się o artystę nowego, pozostawiając p. Anczyca przy rolach nie wymagających effektowej akcyi i wyrazistszej deklamacyi.

Sam dyrektor *Pfeifer* występował dość często, zapewnie z braku artystów w swej kompanii aktorów. Niemożna mu odmówić pewnych zdolności, mianowicie: w rolach salonowych, komicznych. Lecz talent jego blednieje w rolach tragicznych lub patetycznych a wszędzie widna jednostajna rutyna, mechaniczną wprawą nabyta, bojąca się przekroczyć po za granicę przepisów szkoły dramatycznej warszawskiej, odejmująca tym sposobem samodzielny polot naturalnej akcyi.

O Królikowskim Karolu trudno co orzec stanowczo, bo dopiero dwa razy występował. W dramie: *Honor Ojca*, odegrał Lamberta, zaś w *Napoleonie*, „Sirvaina żołnierza". Królikowski przybył obecnie raz pierwszy do Krakowa z prowincyi, gdzie utrzymywał dość dobrane towarzystwo aktorów, po między którymi on miał celować, z powodu że „każdą rolę potrafił przedstawić z energią, siłą i zupełnem przejęciem się charakterem." (Kores. z Lublina do Kuryera warsz. 1852 r. N. 346.) Jakoż w roli „Lamberta" zwyż przytoczonej, umiał przejąć się typem hulaki kawiarniaczego i utracyusza, który przy życiu hałaśliwem, nie trącac wesołości i nie zagłuszywszy uczuć szlachetniejszych, mimo woli swej, niekiedy poddaje się parciu rzewnego uczucia i uniesieniom, które to uczuciowe wrażenia rozpraszać stara się nagłemi przeskokami w rubaszność. Artysta pokazał tu co umie, i choć talent jego nie może ani w cząsteczce iść w porównanie z olbrzymiemi zdolnościami brata jego Jana Królikowskiego, jednakże na naszej scenie, przy obecnym nieurodzaju teatralnym, zajmie Karol Królikowski pierwsze zapewne stanowisko. Jak gra jego wyróżnia się od gry niezdecydowanej jego kolegów, okazał to tak w sztuce „Honor ojca," jak i w „Napoleonie," która to ostatnia sztuka, złem jej odegraniem, przez większą połowę artystów, nie mogła zyskać tego powodzenia jak dawniej, tem więcej, że całą zaletę dramatu i jego *intrygę* stanowią dekoracye i debiutującę konie, których na ten raz nie widziano.

Wymieniliśmy artystów składających alfę i omegę trupy. Reszta z nich nie położyła zasług dla sceny, chociaż z powodu zupełnej niezasobności personalu w jakie takie talenciki, podrzędni używani bywali i do ról znamienitszych i tak:

Sulikowski (fircyk w Honorze ojca, liwerant w Bitwie pod Wimpfen, Pastor w Żebraczce, wieśniak w Janku, Margrabia Tarantullos w Napoleonie i t. d.) w rolach poważnych, psuje wszystko monotonnością głosu i nieruchli-

wością akcyi, w rolach zaś wyższej komiki, np. rozpieszczonego, suchotniczego modnisia, w «Honorze ojca« tak niezręcznie przejmuje komiczne postacie, tak nie umie prowadzić dyalogu potoczyście, że nie rozśmiesza ale nudzi. Najmniej są ci zabawni, co gwałtem chcą być zabawnemi. Artysta ten od roku 1847 występuje w Krakowie, grywając przez długi czas role milczące.

Ficzkowski już od roku 1837 widywany tutaj, zawsze w podrzędnych charakterach, obecnie miewał role: Patyniego linoskoka, (w Żebraczce,) Rustana (w Napoleonie,) Bellevoina (w Bitwie pod Wimpfen,) Stanisława (w Janku) i t. d. Grywa niżej mierności.

Nowakowski znany tu od roku, 1853 używany niekiedy do mniejszych ról i do ról amantów np. Juliana (w Stolikach wirujących.) Oficera (w Żebraczce.) Augusta strzelca (w Bitwie pod Wimpfen.) Nic jeszcze nie umie, i jest początkujący w całem znaczeniu tego wyrazu. Mając nie wielką rolę w Karpackich Góralach, zepsuł ją, pomylił i przerwał dyalog w miejscu, wymagającem wzniosłej deklamacyi.

Benda krakowianin, także od roku 1853 występujący, i zbyt początkujący, oddaje niezgrabnie role przydłuższe sobie powierzane, mianowicie: Narzeczonego (w Honorze ojca.) Robotnika (w Żebraczce.) Gastona (w Bitwie pod Wimpfen.) Adjutanta (w Napoleonie.) Lokaja Józefa (w Stolikach wirujących.) Dworskiego sługę (w Janku.) i t. d.

Galasiewicz który tu jako *Bettoni* rozpoczął w r. 1851 zawód sceniczny, odgrywa role podrzędne jako: Postillon (w Bitwie pod Wimpfen). Jan kucharz (w Stolikach wirujących.) Służący (w Ślubach panieńskich, Żebraczce, Estelli) i t. d.

Tyle o artystach. Co do artystek:

Panna *Kotowska* mimo niemiłego organu głosu i zbyt szczupłej skali onegoż, mimo ruchów niekiedy zbyt szorstkich, okazała się prawdziwą i jedyną artystką dramatyczną, utalentowaną zupełnie, i wykształconą. Ona też wyłącznie bierze pierwszeństwo w tymczasowym składzie trupy krakowskiej. Nie wiemy, czy to taż sama panna Kotowska grywała w roku 1839 w dziecinnych rolach w Krakowie.

Panna *Okońska* zajęła rolę kochanek. Nie dorównywa ta artystka swoim poprzedniczkom w latach dawniejszych, grywającym w tych rolach, jednakże posiada nierównie więcej uczucia od panny Targowskiej, która pamiętając zawsze o wytwornym stroju, zapominała o przejmowaniu się rolą. Rodzice panny Okońskiej, zajmowali małoznaczne miejsce na scenie naszej w latach 1829 i 1839 i wykształcili córkę we własnej trupie, utrzymywanej dotąd na prowincyi. Już w roku 1850 napotykamy jej występy w Busku i Olkuszu w komedyach, w rolach kochanek. W grze jej nieco płaczliwej, melancholijnej, przebija brak rutyny, ruchów giętkich, polotnych, pewności siebie i swobody. Atoli przy rozwijającej się dopiero młodości, przy widnym talencie uczuciowym w zawiązku, można daleko postąpić, i tuszymy sobie, że z porzuceniem prowincyonalnego a raczej, (że się tak wysłowię) pensyonarskiego ułożenia i powolności, przy wdrożeniu się w życie towarzyskie i wżywość obejścia, zdatna aktorka przeobrazi się w uzdolnioną artystkę.

Pani *Kossorotowa* przybyła z Warszawy i nie była tu znaną. Gra jej pewna, dobrze pojęta i wykonana, stawia ją pomiędzy artystkami znającemi scenę dokładnie. W rolach starych panien, przekwitłych zalotnic, kłótliwych gospodyń, zazdrośnic, będzie bardzo dogodną, bo ma po temu fizyonomią, grę, układ i deklamacyą, szczególniej zaś w wygłaszaniu roli, umie nadawać wyrażeniom swoim akcent właściwy i trafną dobitność. Jest to wcale dobra artystka w komedyach wesołych nawet wierszowanych.

Na grę pani *Sulikowskiej*, czyli dawniejszej panny Kruczkowskiej, patrzymy od roku 1845, kiedy jeszcze w chórach opery śpiewywała, ale nie widzimy postępu. Zawsze taż sama nieśmiałość i niepewność, przeszkadzające wyrazistości gry, powodujące wyrecytowanie pamięciowe wyrazów, bez ich ożywienia jaką taką mimiką. Przy dość miłej powierzchowności, mogłaby artystka podobać się, gdyby znać było w grze studiowanie takowej.

Panna *Micińska* nowo przybyła, dość przyjemna i młoda, mało występowała i mało umie; nie żle oddała łatwą i krótką rolę Basi, kochanki w Janku z pod Ojcowa; a co więcej, przy słabym, miłym głosie, nie fałszuje śpiewów krotofilowych. Może to jej matka występowała w latach 1833 i 1838 w Krakowie?

Panna *Zalewska*, także początkująca, nie uwydatniła roli Heleny kochanki, w Stolikach wirujących, w innych rolach także niewprawna. Wstrzymujemy zdanie na później.

Panna *Ładnowska*, która małem dziewczęciem będąc, występowała w roku 1839 w dziecinnych rolach, obecnie grywała w sztuce „Honor Ojca" i innych. Zbyt młoda i zbyt początkująca, aby o niej można coś stanowczego powiedzieć.

Pani *Ładnowska* i pani *Królikowska*, choć oddawna oswojone ze sceną, nie przyniosą jej pożytku. Może o pani Królikowskiej da się co później powiedzieć korzystniejszego; dopiero bowiem raz występowała w charakterze starej plotkarki (w Honorze Ojca.)

Tak się nam przedstawia personale całe dzisiejsze. Pomijamy zupełny brak wystawy, kostiumów, lecz nie możemy przemilczeć zarzutu nieświeżości ubiorów, mogącego się uczynić w ogóle kobietom, tudzież o braku elegancyi i starannego ubrania u mężczyzn. Całość sztuk z powodu braku jakich takich artystów, nie szła harmonijnie w wykonaniu, dyalogi się rwały i niewiązały należycie. Bacząc jednak na trudności, które w pierwszych miesiącach musiał przedsiębiorca przełamać, winniśmy być kontenci, że cho-

ciaż taką trupę nam okazał. Lecz co było dobrem w chwili pośpiechu, nie zawsze jest niem nadal. Czekamy jesieni a z nią koniecznych ulepszeń. Oe.

K. Estreicher

Rozmaitość.

Z powodu uroczystości Bożego Ciała pisze Gazeta lwowska: W niedzielę obchodził kościół grecko-katolickiego obrządku święto «Bożego ciała» z świątobliwością i wystawą obrządku rzymskiego. Procesye publiczne, jakich przed laty na Rusi nie widywano, odbywały się po mieście ku radości powszechnej, że Cerkiew przejęta duchem jedności powzięła myśl piękną zbliżyć się oraz i obrządkami do kościoła rzymskiego i zespolić w formach tyle szlachetnych co prostych, równie wzniosłych jak niewinnych, co miłością zobojętniałe serce zagrzewają, a nadwątloną duszę przejmują otuchą łask i miłosierdzia boskiego. Pamięć przechowa wdzięcznie szlachetną gorliwość, która Starszyznę obrządku grecko-katolickiego natchnęła chęcią ujednostajnić ile można obrządki, zbliżyć ku sobie umysły ludu różniącego się wyznaniem, i zespolić ich jedną miłością, jednem tchnieniem, jednym węzłem między sobą, z państwem, z koroną Monarchy nam Najmiłościwszego, a zatrzeć te małe różności na które gmin się zapatrując, tylko się odstręcza, dla tego, że gmin zawsze się tylko pozorami uwodzi. Niegdyś obrządek grecko katolicki zamknięty w sobie, obchodził święto Bożego Ciała w odosobnieniu po swoich cerkwiach; zdawało się, że usta wyznawcy tego obrządku nie były zdolne odśpiewać sławy bożej w obliczu świata, iż się pierś wstydziła stanąć jawnie i zaintonować przed ludami, pod otwartem niebem hymn chwały tajemnic pańskich, i właśnie też to zamknięcie w sobie odstręczało od siebie wyznawców różnych obrządkiem, stawało się często zakałą, często zgorszeniem dla tych, którzy pragnąc szczerej jedności nie mogli się zbliżyć z tymi co w sobie byli zamknięci. Dzięki dziś wyższemu pojęciu jedności kościoła! Pasterze obrządku tego przyjmując od lat kilku formę kościoła rzymsko-katolickiego, stali się rzetelnymi wyznawcami zasad zgody braterskiej, jedności chrześcijańskiej, wyznawcami szczerej chęci zespolenia rozdwojonych umysłów, a oraz i tych prawd, które kościół rzymski, nigdy w odszczepieństwie lecz od wieków Chrystusa Pana zawsze statecznie chowa i pielęgnuje, a na których statek narodów, wzrost dobra bliźniego, błogosławieństwo ludzkości i zbawienie duszy i świata polega.

Do tego zdania Gazety Lwowskiej o uroczystości Bożego Ciała, odbytej przez Cerkiew unicką, dodać jeszcze potrzebaby wiadomość o początku tej uroczystości.

Szczególne, wyjątkowe okoliczności wpłynęły na ustanowienie tego oddzielnego obchodu we czwartek po świętej Trójcy. Widzenie błogosławionej niewiasty, raz miało skłonić biskupa leodyeńskiego, Roberta Torot, do ustanowienia osobnej uroczystości w kościele i tę w całej dyecezyi owej 1246 r. ustanowiono, a następnie w 1252 do wszystkich kościołów legacyi w Niemczech przez Hugona kardynała rozciągnięto. Zatwierdzenie jednak stolicy Apostolskiej nastąpiło dopiero w r. 1264 za Urbana IV. Na stanowczą decyzyę rzymskiej stolicy wpłynęło niemniej powątpiewanie Berengera z Anger, powątpiewanie o rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w Eucharystyi. Kościół, wsparty cudem w Volsinium wydarzonym, chciał położyć tamę niedowiarstwom, i dzień czwartkowy po świętej Trójcy na najuroczystszy obchód i pamiątkę ustanowienia Sakramentu wyznaczył, i w 1311 r. za papieża Klemensa V. przez bullę na soborze w Vienne, w obec królów Francyi, Anglii i Aragonii odbytym, obchód tej uroczystości całemu kościołowi zalecił.

We Francyi wprowadzoną została dopiero w lat kilka po tem, bo w 1318 r. za papieża Jana XXIII., który dla zwiększenia obchodu przydał oktawę i procesyę, z rozkazem noszenia publicznie w obec ludu Sakramentu Śtego. Tomasz z Akwinu, wezwany do ułożenia nabożeństwa, to jest stósownych modlitew na całą oktawę, dopełnił tego zlecenia, i nabożeństwo to z pewnemi zmianami dotąd jest używane. W jakim czasie obchód ten w kraju naszym wprowadzony został, nie wiadomo; zdaje się, że dopiero w wieku XVI., gdy powstały różne kacerstwa, dla ich powstydzenia i pokonania. Wielki, wspaniały to widok, któremu niemasz równego w uroczystościach kościoła chrześcijańskiego.

Gazeta Lwowska donosząc o uroczystości we Lwowie odbytej dodaje, iż wszyscy kanonicy assystowali ks. biskupowi Bocheńskiemu, wyjąwszy kanoników *Kuziemskiego*, *Janowicza*, *Telichowskiego*, i kanonika *Barwińskiego*. Jedynie ostatniego tłumaczy iż był słaby.

* Z wszystkich okolic nadchodzą wiadomości o pięknych urodzajach, osobliwie jarzyn. Również i pszenice ozime wszędzie prawie są piękne. Jedynie żyta ozime w przecięciu są wszędzie mierne a w niektórych okolicach niżej mierności. W okolicach górskich, gdzie z powodu dłuższej zimy dopiero z końcem maja siew skończono, a więc posucha szkodzić nie mogła, donoszą nam iż już od kilku lat zboża nie wyglądały tak pięknie jak w tym roku. W wielu jednak miejscach dla braku ziarna włościanie nie dosiali. Między włościanami niedostatek jest wielki. Z tego powodu ceny najmu są bardzo niskie. Kartofle wszędzie są bardzo piękne.

* Donieśliśmy o położeniu kamienia węgielnego na szkołę agronomiczną w Dublanach. Budynek ten ma być z drzewa, z powodu iż towarzystwo nie ma dziś dostatecznych funduszów, aby z cegły budowę wyprowadzić, a radoby jak najprędzej rozpocząć kurs szkolny agronomii. Przeszło 20,000 złr. kosztowałaby budowa z cegły a drewniana do 7,000 kosztować będzie. Termin rozpisanego na dyrektora i professorów tej szkoły konkursu upłynął, a tylko jeden kandydat podał się na dyrektora, dawniejszy profesor gymnazyalny, który od lat kilku oddał się gospodarstwu, a dwóch czy trzech na profesorów. Między tymi jest dwóch professorów krakowskich. Z posadą dyrektora jest połączony obowiązek wykładania kursu agronomii praktycznej. Z tego powodu dyrektor musi być w zawodzie tym naukowo wykształcony, tak jak dzisiaj postępowe gospodarstwo tego wymaga. Mówią że profesor szkoły agronomicznej w Grignon we Francyi, galicyanin, pan Pepłowski, miałby chęć wrócić z Francyi ojczyzny. Pan Pepłowski był suplentem chemii i jednym z najbieglejszych chemików w politechnicznym instytucie w Wiedniu. Przed kilkunastu laty udał się do Grignon, tam przebył cały kurs szkoły agronomicznej, a gdy się na jego zdolnościach poznano, po ukończeniu kursu mianowany został profesorem chemii agronomicznej. Słyszeliśmy, iż pan Pepłowski ma być zapytany od towarzystwa, czy nie przyjąłby tej posady.

* Podróżni z królestwa opowiadają, iż wszystkie przedmieścia i ogrody koło fortecy Zamościa w przeszłym tygodniu zdemolowane zostały.

* Pozajutro, jeżli pogoda sprzyjać będzie, odbyć się ma serenada dla Cesarzewicza, zapowiedziana już kilkakroć a zawsze dla deszczu odkładana na później.

Znaczenie poprzednich szarad: 1. Warna. 2. Turczyn. 4. Omer.

Szarada.

Pierwsze litera i drugie litera,
Każdy w alfabecie łatwo je pozbiera,
Bo cóż trudnego szukać w Abecadle; —
Pierwsze z trzeciem brzęczy i kąsa zajadle,
A wszystko chciało i kąsać i huczyć,
Spalono jej skrzydła, aby ją oduczyć.

Przyjechali od dnia 26 do 27. czerwca do Lwowa:

PP. Komorowski Adam, z Konotop. Garapich Władysław, z Cebrowa. Korytowski Franciszek, z Horożanki. Korytowski Erazm z Płotycza. Drohojewski Maciej, z Łukawicy. Strzelecki Krzysztof, z Płuchowa. Walewski Aleksander, z Kłodna.

PP. Komorowski Piotr, hr. z Biliny. Rozwadowski Wiktor ze Stryja. Błażowski Krzysztof, z Lubienia. Hosch Edward, z Wiednia. Biliński Konstanty, z Czerniowic. Krall Tomasz, z Czerniowic. Pawlikowski Benedykt, z Mieczyszczowa. Pajączkowski Narcyz, ze Sambora.

Wyjechali od dnia 26 do 28. czerwca ze Lwowa:

PP. Domain Wenant, do Czortkowa. Szczepański Władysław, do Wiśniowczyka. Okornicki Felicyan, do Rozdołu.

PP. Czajkowski Jan, do Truskawca. Zagórski Wincenty, do Podbuża. Piaskowski Teofil, do Brodów. Łoś Włodzimierz, hr. do Brodów.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**

	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	11	złr.	6	kr.	14.
Dukat cesarski	"	6	"	17	"	6	"	20
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	48	"	10	"	52.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	4	"	2	"	5.
Talar pruski	"	1	"	59	"	2	"	—.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	31	"	1	"	32.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	92	"	20	"	92	"	30.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	109.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	129 2/8.	Medyolan za 300 lirów	126 1/2.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	150 4/8.
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy	128 1/4.	Agio duk. ces.	34 1/4
		Srebra agio	29
Genua	—.	Pożyczka 5% 86 1/16. 4 1/2	76.
Hamburg za 100 tal. banco.	94 2/8.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	36.	Akcye banku	1276.
Liwurno	—.	Kolej północna	2132.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 29.	Obl. ind. 5%	—

Z numerem dzisiejszym kończy się prenumerata na kwartał drugi.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**